

Ogrody antropocenu

AUTOR: JOLANTA KOWALSKA

***Miejski ptasiarz* Weroniki Szczawińskiej** jest próbą pokazania na scenie transgatunkowego uniwersum miasta, a tym samym teatralną formą ćwiczenia uważności w dostrzeganiu zjawisk na co dzień pomijanych. Natłok konceptów formalnych nie pozwala jednak widzowi zanurzyć się w świecie „sztucznej natury”.

■ Rugowanie antropocentryzmu z teatru przebiega dość topornie. Postulat, by wznieść się ponad egoistyczny interes ludzkiego gatunku i spojrzeć na świat z perspektywy szeroko pojętej natury, jest być może słuszny, lecz trudny do przeprowadzenia na scenie. Teatralny ekologizm przybiera najczęściej postać dydaktycznych baśni bądź apokaliptycznych wizji, w których próżno szukać prób nowego zdefiniowania człowieka w posthumanistycznej rzeczywistości. Otwarte pozostaje też pytanie: czy da się znaleźć taką formę artystycznego wyrazu, która uczyni podmiotem istoty nie-ludzkie?

Przed siedmioma laty, w *Kotlinie* według powieści Olgi Tokarczuk *Prowadź swój pług przez kości umarłych*, Agnieszka Olsten wprowadziła na scenę Wrocławskiego Teatru Współczesnego psy. Eksperyment, mający na celu stworzenie modelu przestrzeni społecznej, której pełnoprawnymi uczestnikami byłyby również zwierzęta, wprowadzał postulat upodmiotowienia istot nie-ludzkich w sferze bezpośredniego doświadczenia. Kilka lat później, w tym samym teatrze, Weronika Szczawińska wykazała, że transgatunkowe uniwersum, niwelujące granice pomiędzy naturą i cywilizacją, istnieje realnie. To miejski ekosystem – przestrzeń niby całkowicie sztuczna, naszpikowana nowoczesnymi technologiami, a jednak stanowiąca dogodne siedlisko dla różnorodnych organizmów, które potrafiły zaadaptować ludzkie wynalazki także do swoich potrzeb. Uwaga realizatorów spektaklu *Miejski ptasiarz* koncentruje się na skrzydlatych mieszkańcach miast. Inspiracją dla reżyserki była książka *The Urban Birder* Davida

Lindo – entuzjasty ornitologii, doświadczonego obserwatora ptaków i popularyzatora birdwatchingu. Twórcy przedstawienia nie porzucili jednak wyłącznie na lekturze i przeprowadzili własne badania terenowe we wrocławskich parkach. To, co się z zebranego materiału urodziło na scenie, jest po części udratyzowanym raportem, a po części performatywną zabawą, zastępującą realną inicjację w ptasi świat, grą znaków. Zbiorowy bohater przedstawienia, jakim jest miejska awifauna, pozostaje bowiem w spektaklu nieobecny. Opowiadają o niej entuzjaści birdwatchingu, buszujący z lornetką po miejskich parkach, skwerach i zaułkach, by wysledzić kryjące się w zaroślach i konarach drzew rzadkie gatunki. Podpatrywane z ukrycia kawki, dzięcioły, sroki, wrony, kowaliki i pustułki objawiają inny wymiar życia w zurbanizowanej przestrzeni, odmienną geografie miasta, rehabilitując miejsca zaniedbane, dzikie, opuszczone, w których lubią gnieździć się ptaki, a także zaskakującą funkcjonalność komunalnej infrastruktury. Studzienki kanalizacyjne, rynny, parapety, ściany domów, śmietniki – wszystkie te elementy miejskiego pejzażu, stworzone przez człowieka, mają bowiem także nieproszonych, ptasich użytkowników, umiających wykorzystać je do swoich celów.

Szczawińska odrzuciła pokusę pokazania miasta „okiem ptaka”, jej spektakl jest raczej propozycją treningu percepcji, nakierowanego na zjawiska na co dzień niedostrzegalne. Okazja do ćwiczenia uważności pojawia się już na początku spektaklu, rzecz bowiem zaczyna się od kontemplacyjnej pauzy. Przed oczyma widzów usadzonych wokół sceny pojawiają się

postacie w szarych uniformach, uzbrojone w lornetki. Aktorzy wpatrują się w przestrzeń i w publiczność, widzowie podglądają aktorów i siebie nawzajem – trwa wyczekiwanie, aż zdarzy się coś naprawdę. To jednak tylko trening koncentracji, mający uruchomić wyobraźnię, bowiem rzeczywisty obiekt obserwacji pozostanie nieobecny. Ptasi świat nie materializuje się ani na chwilę, trzeba go stworzyć z rozrzuconych w przestrzeni znaków, dźwięków, wreszcie – opowieści. Ptasiarze mówią o swoich obserwacjach, emocjach towarzyszących rzadkim gatunkom, komentują ich zachowania i sposób życia w miejskim środowisku, dzielą się cichymi radościami podglądaczy, kolekcjonują wrażenia. Każde z tych doświadczeń jest ulotne, niepowtarzalne, ekscytujące bliskością świata skrzydlatych istot. Sugestię ich obecności stwarzają imitowane przez aktorów świergoty i tryle, zmieszane z dźwiękami miasta, a także detale zurbanizowanej przestrzeni, chętnie zagospodarowywane przez ptaki. Scenografka Marta Szyplulska eksponuje je punktowo, komponując pejzaż miasta ze studzienek, kratek ściekowych, płyt chodnikowych, imitacji betonu i blachy, poutykanych tu i ówdzie roślinek oraz miniaturowych trawniczków i drzewek ze sztucznych tworzyw. Jeden z aktorów dopełnia ów obraz, rozstawiając na podłodze kilkadziesiąt figurek różnych gatunków ptaków. Wszystko to przypomina trochę plac zabaw, na którym testuje się performatywną skuteczność teatralnej maszyny w kreowaniu modelu innej rzeczywistości. To rzeczywistość odmiennie wyskalowana, dostępna w innych rejestrach zmysłowej percepcji,

lecz pozostająca w zasięgu doświadczenia codzienności.

Gra pomiędzy realnym i wyobrażonym byłaby z pewnością mocną stroną spektaklu, gdyby nie fakt, że jego estetyka okazała się mało wydolna. Teatralny plac zabaw, zamiast zaskakiwać, szybko staje się przewidywalny. Monologowa narracja nuży, choć siedmioro aktorów (Mariusz Bąkowski, Anna Błaż, Krzysztof Boczkowski, Anna Kieca, Miłosz Pietruski, Jerzy Senator i Paulina Wosik) robi wiele, by stworzyć choćby załączki zindywidualizowanych postaci. Mimo ciekawie opracowanych ruchowo partytur przedstawienie rozpada się na szereg indywidualnych etiud, które z trudem wiążą się w jakąś całość. Jałowe okazały się też próby nawiązania kontaktu z publicznością. Przypatrywanie się widzom niczym rzadkim ptasim okazom bądź dzielenie się z nimi lornetkami jest w istocie pozorowaniem współuczestnictwa, w rzeczywistości bowiem publiczności, wyeksponowanej w pełnym świetle i traktowanej jak obiekt do ogrania, przypada co najwyżej rola żywej scenografii. Ten sposób jej użycia skutkował zresztą efektem odwrotnym do zamierzonego, gdy widzowie usadzeni wokół sceny, zamiast ćwiczyć uważność, kontemplowali wzajemne oznaki znużenia.

Ciekawym konceptem, wyznaczającym dramaturgiczną oś spektaklu, jest transformacja miejskich podglądaczy, którzy z czasem upodobniają się do obiektów swojej fascynacji. Ta przemiana dokonuje się stopniowo, od

ptasich przyruchów, odgłosów, dreptań, aż po olśniewające metamorfozy w skrzydlate istoty, kroczące wzdłuż kratek ściekowych, jak po wybiegu na pokazie mody. W imitacjach tych na szczęście nie ma dosłowności – wszystko tu jest umowne, delikatnie naszkicowane, ironiczne. Ptasie kostiumy, nawiązujące do wzorów markowej odzieży, mogłyby uchodzić za kaprys projektanta *haute couture*. Na końcu nie jest już pewne, czy to fantazje na temat ptaków, czy osobliwe spojrzenie na ludzi, jawiących się jako barwny, pachnący egzotyką gatunek miejskiej fauny. Ta perspektywa pozwala zobaczyć w człowieku i wytworzonym przez niego środowisku część natury, korygując przy tym obiegowe wyobrażenia przyrody jako nietkniętej cywilizacyjnym brudem idylli. Przedstawiony przez Szczawińską obraz miasta jako ekosystemu obnaża naiwność sentymalizujących fantazji na temat przyrody i zarazem zwraca uwagę na inny rodzaj piękna, jaki rodzi się na styku żywej materii z miejską infrastrukturą: siecią kanalizacji, „inteligentną” technologią, konstrukcjami z betonowych płyt. Może zamiast płakać za rajem utraconym natury, wypadałoby się rozejrzeć po zurbanizowanych ogrodach antropocenu i spróbować je poznać, określić w nich swoje miejsce, doświadczyć ich egzotyki?

Reżyserka spektaklu jest daleka od afirmacji miejskiego środowiska. Dostrzega w nim raczej model nowego *status quo* między człowiekiem i przyrodą, którego działanie nale-

żałoby dopiero zbadać. Jej spektakl nie stawia żadnych gotowych tez, nie narzuca diagnoz, raczej prowokuje do myślenia, wskazując rozległe obszary niewiedzy. Dowodzi przy tym, że poza intensywnie eksploatowanym dyskursem o katastrofie ekologicznej i sielankową narracją o harmonii przyrody – istnieje możliwość innej rozmowy o naturze.

Miejski ptasiarz jest w jakiejś mierze kontynuacją drogi wytyczonej przez reżyserkę w *Rozmowie o drzewach* – projekcie zrealizowanym w Komunie Warszawa w ramach cyklu „Krajobraz”, którego pomysłodawczynią i kuratorką była sama Szczawińska. Oba przedsięwzięcia podejmują próbę stworzenia praktyki teatralnej, na gruncie której byłoby możliwe indywidualne rozwijanie uważności. W poszukiwaniach tych można dostrzec refleks popularnych ostatnio technik medytacyjno-terapeutycznych *mindfulness*. Wykorzystanie teatru jako wehikułu stymulującego koncentrację i wyobraźnię jest obiecującym pomysłem, lecz akurat *Miejski ptasiarz* w tej roli niespecjalnie się sprawdza. Obwarowany ironią i zasiekami nawiasów krytyczny dystans sprawił, że podczas półtoragodzinnego seansu trudno było przeżyć coś naprawdę. Sferę bezpośredniego doświadczenia przytłoczyła estetyka. Zamiast bodźców usposabiających do kontemplacji, był natłok konceptów formalnych o nierównej jakości. Wszystko to sprawia, że zamierzona przez reżyserkę wyprawa w inny wymiar rzeczywistości ugrzęzła w opłotkach narcystycznej teatralnej zabawy. ■

WROCLAWSKI TEATR
WSPÓŁCZESNY

Miejski ptasiarz
na podstawie
The Urban Birdier
Davida Lindo

scenariusz
Weronika
Szczawińska,
Piotr Wawer jr
reżyseria
Weronika Szczawińska
dramaturgia,
opracowanie muzyczne
Piotr Wawer jr
scenografia, kostiumy
Marta Szypulska
reżyseria światła
Jan Sławkowski
ruch sceniczny,
współpraca
konceptyjna
Agata Maszkiewicz

premiera
25 września 2020



tek Warzecha / Wrocławski Teatr Współczesny